

ptomyczek

TYGODNIK DLA MŁODSZYCH DZIECI

WSV 30/38/11/176

Nr

38

WARSZAWA, 8 CZERWCA 1937 ROKU





Zaszumiała złota niwa,
zaszumiało kłosów pole;
wiatr roznosi szept ciche,
niepokoi dzieci w szkole.

Na wycieczkę marsz!
Gdzie zboża,
gdzie zieleń,
gdzie kwiatów
tak wiele,
hej, marsz!

Pochylili się kosiarze,
zadzwończyły ostre kosy;
bujna trawa, kwiaty, zioła
w równe kładą się pokosy.

Na wycieczkę marsz!

Gdzie łąka,
gdzie rzeka,
gdzie kąpiel
nas czeka,
hej, marsz!

Bór świętuje letnie gody,
wielu gości się spodziewa.
Przywołuje z gęstwin ptaszki:
„Jak najładniej proszę śpiewać!...”

Na wycieczkę marsz!
Gdzie sosny,
gdzie dęby,
gdzie ciche
poręby,
hej, marsz!

L. Wiszniewski

PRZYGÓD MARCELIANKA MAJSTERKLEPKI HISTORIA III

Szedł Marcelianek Majster-Klepka drogą... A ta droga dziwna była. Drzewa na niej rosły i paprocie. Krzaki. Mchy.

Bo to była droga zajęczkowska, lisowska, niedźwiedzińska, ale nie ludzka. I niczym się właściwie nie różniła od boru, który był po lewej

ręce i od boru, który był po prawej.

Bo ta droga to była błędna droga.

Cztery noce, trzy dni idzie już Marcelianek Majster-Klepka błędną drogą. I często, gdy dojdzie do jakiegoś wielkiego dębu, albo gdy na



lisiä norę się natknie, wydaje mu się, że już w tym miejscu był, że nie wiedząc i nie chcąc po lesie krąży i że nigdy już na dobrą drogę nie trafi.

Ale teraz drzewa przerzedziły się trochę i Marcelianek ujrzał, na pewno po raz pierwszy, górę sterzącą wśród lasu.

Idzie Marcelianek w stronę góry, aż tu nagle węzełek, który trzymał w ręku... a był to

Węzełek Przyda się Wszędzie
Węzełek Wszystko Zmieści
Choćby i Sto czterdzieści
Narzędzi

...aż tu węzełek sam się nagle poderwał i pociągnął Marcelianka w stronę góry.

Leci węzełek a za nim Marcelianek...

— Buch!

— Buuuch! — odpowiedziało echo.

To węzełek stuknął o górę i tak mocno przyłgnął do niej, że go Marcelianek oderwać wcale nie mógł.

Wtedy rzekł Marcelianek tak:

Węzełku! Daj z Swej Łaski
Narzędzi Kamieniarskich!

I o dziwo! Węzełek ani drgnął. Nie wyskoczyły z niego wcale świdry ani dłutka. Tak, jakby nic nie słyszał.

Zdziwił się Marcelianek i powiedział:

Węzełku Przydasz się Wszędzie
Węzełku Wszystko Zmieścisz
Choćby i Sto Czterdzieści
Narzędzi...

Do widzenia!

Wtedy węzełek poruszył się i szepnął:

— Nie zwiódłem cię ani razu.
To góra przyciąga żelazo!

Jeśli mnie kochasz choć

ździebko

Nie odchodź sam, Majstrze-

Klepek!

Marcelianek rozwiązał węzełek i rzeczywiście — wszystkie drewniane narzędzia upadły na ziemię, a żelazne tak mocno przylegały do góry, że nie można ich było oderwać.

Namyślał się Marcelianek dość długo, wreszcie postanowił iść do lasu szukać pomocy. A jeden mały kawałek dziwnej skały, która przyciągała żelazo, włożył do kieszeni.

Idzie Marcelianek, idzie, a tu spod choinki zając wyskakuje.

— Nie uciekaj, zajączku, — mówi Marcelianek — wysoka góra przyciągnęła mi mój węzełek i nie



mogę go oderwać. Czy nie zechciałbyś mi dopomóc?

— A czy w tym węzełku jest sałata? — spytał zajac.

— Nie — odrzekł Marcelianek — to jest węzełek z narzędziami.

— No, to bardzo przepraszam, ale nie mam czasu — odrzekł zajac i pokicał za drzewa.

Idzie Marcelianek, idzie, a tu lis.

— Mój drogi lisie — mówi Marcelianek — wysoka góra przyciągnęła mój węzełek i nie mogę go oderwać. Czy nie chciałbyś mi dopomóc?

— A czy w tym węzełku są pieczone kurczęta? — spytał lis.

— Nie — odrzekł Marcelianek — to jest węzełek z narzędziami.

— Od czasu jak mi sidła wykreściły nogę, nie lubię żadnych narzędzi — odrzekł lis, podniósł kitę i odszedł.

Idzie Marcelianek, idzie, a tu miś.

— Dzień dobry, misiu — rzekł Marcelianek — wysoka góra przyciągnęła mi mój węzełek i nie mogę go oderwać. Czy nie chciałbyś mi dopomóc?

— A czy w tym węzełku jest miód? — spytał miś.

— Nie — odpowiedział Marcelianek, — to jest węzełek z żelaznymi narzędziami.

— Bardzo mi przykro, ale umó-

wiłem się z kolegami przy barci, która jest po przeciwnej stronie lasu — rzekł miś i poszedł.

Idzie Marcelianek, idzie... I długo jeszcze szedł, nim doszedł do polany, na której byli ludzie.

A ci ludzie mieli brody do pasa. Otoczyli Marcelianka i pytają:

— Kto ty jesteś?

— Ja jestem Marcelianek Majster-Klepka.

— A my jesteśmy uczniowie II oddziału szkoły powszechnej — odpowiedzieli ludzie z brodami do pasa.

— Co? — zdziwił się Marcelianek.

— A bo to było tak — zaczął opowiadać ten, który miał najdłuższą brodę — bardzo, bardzo dawno, nie wiem ile lat temu, bośmy ich nie liczyli, poszła nasza szkoła do lasu na wycieczkę. I nasz cały drugi oddział odłączył się od reszty. I myśmy poszli sami borem. I musieliśmy iść błędną drogą, bo jak doszliśmy do tej polany, to nie mogliśmy już potem trafić z powrotem.

— To dziwne — rzekł Marcelianek — a nie próbowaliście w ciągu tylu lat znaleźć dobrej drogi?

— Próbowaliśmy wiele razy — odrzekł ten uczeń drugiego oddziału, który miał najdłuższą brodę — ale tu, w koło nas, muszą być same błędne ścieżki, bo w którą by stro-



nę nie pójść, to po drodze wszystko się tak pokręci, że w końcu zawsze wracamy na to samo miejsce, na polanę.

— Ach... Co by tu można poradzić — rzekł Marcelianek Majster-Klepka i sięgnął, tak sobie sięgnął do kieszeni, po ten odłamek, który znalazł pod przyciągającą górą.

Wyciąga Marcelianek odłamek, a ten odłamek ciągnie za sobą kawałek drutu, a ten drut ciągnie za sobą blaszkę, a ta blaszka ciągnie za sobą agrafkę, a ta agrafka ciągnie za sobą stalówkę... Marcelianek zawsze miał pełne kieszenie przeróżnych rzeczy.



Wtedy ten uczeń II oddziału, który miał siwą brodę, podniósł dwa palce do góry i rzekł:

— Ja wiem!

— Co wiesz?

— To jest magnes.

— Tak, to jest magnes — zawołali wszyscy.

— Dobrze, a co dalej? — spytał Marcelianek.

— Hm...

— A...

— E...

— Dalej jeszcze nie mieliśmy zadane — odrzekli.

A Marcelianek tak sobie myśli:

— Ta góra, to była góra magnetyczna, a ten odłamek to jest magnes. I ten magnes namagnesował blaszkę i agrafkę i stalówkę. I teraz



ta blaszka i agrafka i stalówka też jest jak magnes. Przyciąga.

— I co dalej? — rzekł Marcelianek sam do siebie.

I sam sobie odpowiedział:

— Dalej się jeszcze nie nauczyłem.

Tymczasem jeden z brodatych uczniów przyniósł Marceliankowi jagód. Żeby go ugościć: I wody w kubku. Ten kubek dostał brodaty pan już dawno od mamusi, kiedy szedł na wycieczkę. I do tego kubka spadł teraz z drzewa liść i pływał sobie po wodzie.

— Ten liść to jest okręt — powiedział sobie Marcelianek, — a agrafka będzie kapitanem.

I ostrożnie położył na liściu agrafkę. Tę namagnesowaną.

Zadrzała agrafka razem z liściem i cały okręt ustawił się dziobem w tę stronę, w której słońce świeci o godzinie 12 w południe.

A kubkiem z wodą, czyli oceanem, można było ruszać w lewo i w prawo, agrafka zawsze pokazywała tę samą stronę.

Wtedy ten, który miał siwą brodę, podniósł dwa palce do góry i rzekł:

— Ja już sobie przypominam, to się nazywa kompas.

— Tak, to się nazywa kompas!— zawołali wszyscy chórem.

— Więc ten kompas pokaże nam prostą drogę — powiedział Marcelianek.

— Już nam się znudziła ta wycieczka, prowadź nas, Marcelianku, z powrotem — zawołała cała klasa.

— Bardzo chętnie — powiedział Marcelianek, — ale mam jeszcze do was prośbę. Magnetyczna góra przyciągnęła mi mój węzełek i nie mogę go sam oderwać. Czy nie chcielibyście mi dopomóc?

— A co jest w tym węzełku?

— Sto czterdzieści narzędzi — odrzekł Marcelianek.

— Bardzo chętnie ci pomożemy — zawołali wszyscy i ruszyli w stronę góry.

Wspólnymi siłami oderwali węzełek od magnetycznej góry i



Węzełek Przyda się Wszędzie, popłakał się z radości.

Wtedy Marcelianek wziął go na ramię i poprowadził wszystkich przez las. Ten, który miał siwą brodę i był najlepszym uczniem II oddziału, siedł przed Marceliankiem i cały czas trzymał w rękach kubek, w którym na listku pływała namagnesowana agrafka, więc nie błądzili, nie krążyli i wkrótce wyszli z lasu.

Wtedy ci brodaci poszli w prawo do szkoły, do II oddziału, a Marcelianek Majster-Klepka pożegnał się i poszedł w lewo. W świat.

Stefan Themerson



Janek, Franek,
Zygmunt, Bolek
wyszli z miasta
razem w pole.
Wtem spod miedzy
zając skok —
— chłopcy w strachu

co to? kto?
Franek, co to
wszystko wie,
poznał zaraz,
że to lew.
Lew na pewno,
choć bez grzyw,

uciekajcie
więc kto żywy!
Franek, Janek,
Zygmunt, Bolek
uciekają co sił
polem.

St. Aleksandrzak

WYCIECZKA ANTKA

Od tygodnia o niczym innym nie mówi się w klasie, tylko o wycieczce. O prawdziwej, wspaniałej wycieczce. Nie będzie to taki sobie spacer za miasto, ale prawdziwa wyprawa. Wyruszą dzieci raniutko wozami, a wrócą wieczorem. Już Janek wyciągnął ze skarbonki wszystkie swoje oszczędności, bo na wycieczkę trzeba się złożyć po 50 groszy.

— Mam całą złotówkę. Przyda się na pewno. Może mleka kupię, a może coś innego.

Inne dzieci też liczą swoje pieniądze. Władek dostanie od ojca na pewno ze dwa złote. Obiecał już Felkowi kupić cukierków.

— Pamiętajcie dzieci, trzeba włożyć jakieś wygodne i mocne pantofle, żeby was nogi nie bolały — mówi pani.

— A sandały mogą być? — pyta Zosia.

— A co zabrać do jedzenia?

— Czy można wziąć kawę do butelki?

— Czy jedzenie zabrać w koszyku? — dopytują się inne dzieci.

— Ja wezmę plecak. I herbatę w manierce — woła Julek.

— A ja siatkę na ryby.

— Dużo w siatkę złapiesz! Lepiej zrobić sobie wędkę...

— Może złapiemy w lesie młodego zajączka, to go oswoimy...

— A może wiewiórkę. Ja mam w domu taką wielką drucianą klatkę...

Tylko Antek nic nie mówi. Nie pojedzie na wycieczkę. Siedzi cicho i zawzięcie coś rysuje w zeszytce. Dzieci z początku nie zwróciły na

niego uwagi. Dopiero sąsiad jego z ławki, Wicek, zagadnął go ze zdziwieniem:

— A ty co tak milczysz? Wcale cię ta wycieczka nie ciekawi?

— Co mnie ma ciekawić? Przecież nie pojedę — mruknął chłopiec.

— Dlaczego? Patrzcie, Antek nie chce jechać.

— Czemu nie chcesz? Nie zwracaj głowy, wszyscy jedziemy — wołają dzieci.

— Nie mam pieniędzy — szepcze Antek, czerwony jak burak.

Dzieci milkną. Janek odciąga na bok Władka:

— Ty, zapłać za niego te 50 groszy.

— Obiecałem już Felkowi i Stasi, może kto inny będzie miał...

Pięćdziesiąt groszy zebrano szybko, ale okazało się, że Antkowi brak wielu innych niezbędnych rzeczy. Nie ma butów, ani marynarki — chodzi w sweterku bardzo już wytartym, nie będzie też mógł zabrać nic do jedzenia.

Dzieci wpadły w zapał. Wszyscy muszą jechać. Trzeba znaleźć buty dla Antka. Trzeba w ogóle przejrzeć, czy innym czego nie brakuje.

— Irka też ma podarte sandały. Może kto ma zapasowe pantofle? — woła Hela.

— Ale nie, jeszcze mogę jechać w tych sandałach — czerwieni się Irka.

— Nie zwracaj głowy. Nie masz się czego wstydzić. Pożyczam ci przecież tylko — tłumaczy Zosia siłą wkładając swe pantofle koleżance.



Na dwa dni przed wycieczką klasa zamieniła się w garderobę. Dzieci znosiły „niepotrzebne” czapki, kapelusze, obuwie, sukienki. Przebierały się, przymierzały. Wreszcie nadszedł upragniony dzień. Wczesnym rankiem zebrała się przed szkołą cała gromadka.

— Wszyscy są? Nikogo nie brakuje?

Turr... tur... tur... — zajęchały przybrane zielenią wozy.

— Spokojnie, nie tłoczyć się, ostrożnie — upomina pani,

— Ojoj, proszę pani, mokro, kawa się rozlała! — woła Zosia.

— Nic nie szkodzi, wyschniesz.

— Ale kawy szkoda — śmieją się chłopcy.

— Wystarczy i tak jedzenia dla wszystkich. Patrz, ile tam Julek dźwiga w swoim plecaku.

— A Wicek też ma koszyk niezłe wypchany.

— A wiecie, że to wszystko przez Antka? Bo gdyby nie to, że Antek nie miał butów, nie przyszłoby nam do głowy, żeby pomyśleć o innych. Każdy zabrałby tylko dla siebie.

— I ja miałbym chleb ze szmalcem, jak zawsze, a tak to coś się jeszcze dla mnie innego okroi.

— A ja nie miałbym chleba ze szmalcem, a bardzo go lubię — zaśmiał się Włodek.

— Więc się zamieniamy, tak?

— Doskonale, ja twój chleb, ty moją bułkę z powidłami.

— Uwaga, dzieci, ruszamy!

Wesoło stukają końskie kopyta o bruk, wesoło turkoczą koła, radośnie błyszczą oczy roześmianej gromadki.

H. Huszczyńska





Pośród słońca
jasnych blasków
idą dzieci
dziś do lasku.

Idą równo
raz, dwa, raz,
aż się nisko
kłania las.
Zaszumiały
liście, drzewa,
— wnet się cały
las rozśpiewał

pięknie, gwarnie,
uroczyście
na radosne
dzieci przyjście.
Dąb stuletni
gruby, krzywy
opowiada
dzieciom dziwy,
— a wiewiórka
jedna, druga,
małym oczkiem
z drzewa mruga,
i wesoło

i radośnie
przedstawiła
dzieci sośnie.
— Witam, witam, —
sosna prawi,
— proszę się w mym
cieniu bawić,
niech po lesie
z szumem leci
śpiew wesoły
wszystkich dzieci.

St. Aleksandrzak

PIŁKA ZZA MURU

Skąd się wzięła ta piłka wśród dzieci z podwórka, nikt nie wiedział. Była prześliczna. Z jednej strony czerwona, z drugiej niebieska i rozdzielona na dwie połowy żółtym, błyszczącym paskiem. Pewnego dnia zjawiała się nagle koło śmietnika, pod wysokim murem sąsiedniej posesji i tam znalazł ją Antek spod czternastego. Z początku próbował nawet odszukać właściciela. Chodził po wszystkich piętrach, dzwonił do drzwi i szurgając nogami pytał grzecznie:

— Czy to od państwa spadła piłka?

Ale nikt się nie przyznał do zguby i piłka została.

— Będzie wspólna, podwórko wa — postanowił Antek — bo przecież podwórko też jest wspólne.

I piłka stała się własnością ośmiorga dzieci: Antka i Bronki z sutereny, piegowatej Heli od szewca, Jacka i Olka — trzech braci spod dwudziestego, Wicka z dyżurki i Małgosi stolarzówny.

— A u kogo ona będzie w no-

cy? — spytała praktyczna Małgosia.

Wacek podrzucił piłkę wysoko aż czerwona i niebieska strona zamigotała fiołkowo w słońcu i krzyknął:

— U nas!

— Takiś mądry! A dlaczego nie u mnie? — pisnęła Hela.

— Bo piłka nie jest dla bab! — wykrzywił się brzydtko Wicek. — Idźcie do swoich lalek z gałganów.

Ale Antek sprawiedliwie rozsądził:

— Może być co dzień gdzie indziej, żeby nikt nie miał krzywdy.

Od tego dnia piłka nie mogła narzekać na nudy: Antek umiał rzucać najwyżej, Jacek świetnie łapał, choćby musiał ganiać za piłką przez całe podwórze. Hela znów najlepiej grała w przybijankę pod murem, a Małgosia potrafiła szybko jak nikt okręcić się trzy razy w kółko, klasnąć trzy razy w ręce i złapać piłkę, zanim spadła na ziemię. Tylko z Bronką i Wickiem był kłopot.

Mała Bronka nie bardzo jeszcze umiała grać w piłkę, za to lubiała oblizywać. Taki już miała zwyczaj, nawet buty nowe lizała. Dzieci bały się okropnie, że zliże z piłki piękną, czerwoną farbę.

A znów Wicek przepadał za futbolem i wciąż kopał piłkę.

— Żebyś miał futbolówkę, owszem, nie powiem! Kop sobie na zdrowie! — złościł się Antek. — Ale ta jest z cienkiej gumy! Kopniesz raz, dwa — i po piłce. A to przecie wspólna własność! Trzeba uszanować.

Na dodatek zaczęły się inne kłopoty. Lokatorzy skarżyli się, że dzieci zanadto hałasują na podwórzu. Pan dozorca nawet zagroził, że piłkę odbierze.

A tu jak na złość pewnego dnia Olek za mocno odbił piłkę i stłukł szybę na schodach. Podniósł się lament w całej kamienicy, przybiegł zagniewany dozorca, chwycił piłkę i przerzucił przez mur.

Chłopcy stanęli jak wryci. W tej



samej chwili za murem jakiś cienki głosik wykrzyknął:

— Moja piłka! Moja piłka!

Wtedy dopiero dziewczyny zaczęły płakać, a Antek wdrapał się na mur, żeby zobaczyć właściciela cienkiego głosiku. Po drugiej stronie muru rozciągał się duży plac, zarosnięty trawą. Pod murem stał mały chłopiec trzymając oburącz piłkę.

— Oddaj, to nasza! — krzyknął Antek.

Chłopiec potrząsnął głową:

— To moja. Zginęła mi przed miesiącem.

— Ale kiedy to nasza, wspólna, podwórkowa!

— Jak to podwórkowa?

Chłopiec z zaciekawieniem rzucił piłkę, wdrapał się na mur i usiadł obok Antka. Pod murem stały wszystkie dzieci z zadartymi ku górze głowami. Bronka jeszcze popłakiwała z cicha.

— Powiedz, co to znaczy podwórkowa? — pytał chłopiec uśmie-

chając się przyjaźnie. Więc Antek opowiedział mu całą historię piłki, jak to zjawiała się nie wiadomo skąd, jak się stała wspólną własnością.

— To mi się bardzo podoba! — wykrzyknął chłopiec. — Nie mam co prawda innej piłki, ale możemy się przecież wszyscy razem tą bawić.

— Wiwat dziewiąty właściciel! — zawołali trzej bracia pod murem.

Antek z uznaniem spojrział na nowego towarzysza:

— Morowy chłop z ciebie!

— Co z tego? Kiedy nam dozorca nie pozwoli grać w piłkę — powiedziała zawsze praktyczna Małgosia. — I nie wpuści obcego chłopaka.

Ale chłopiec gwizdnął tylko na palcach i odparł pogardliwie:

— Co mi tam wasze podwórko! Przychodźcie do mnie na plac. Jest wejście od Belgijskiej. Będziemy mogli się bawić od rana do nocy!

Wanda Grodzieńska



— Mój nie jesteś, to prawda, ale gdyby cię Ignas kochał, byłby już dwa razy przybiegł na ulicę Kozią, żeby ciebie zabrać ode mnie. Znalazłem cię, to i mam. Bądź cicho, bo cię wsadzę do innej, głębszej kieszeni — odpowiada Ignas schylając się po Pajdziusia.

— Wiesz, czyj jestem, ha, wiesz, i nie oddajesz mnie Ignasiowi.

Złodzieju — krzyknął Pajdzius groźnie i tłukł w podłogę tak hałaśliwie, że Rogińska latająca spodnie zawołała:

— Mietek, nie suwaj stołem. Cały dom się trzęsie.

Co miał Mietek odpowiedzieć matce? Stołem nie ruszał, palcem nawet nie kiwnął, stał nieruchomo, a zabawka Ignasia latała, trzaskała, szukała wyjścia jak mysz. Mietek zachodził to z tej, to z owej strony, żeby ją chwycić. Daremnie. Ostre różki wystawił Pajdzius na głowie, na plecach i nie da się podejść.

Mietkowi pot wystąpił na czoło. W lesie podszedł blisko stracha, od którego wszyscy uciekali z krzykiem: ojej, wilk, niedźwiedź. A w domu on ma się lękać czegoś? Nakrył czapką latającego Pajdziusia. Zafurczało. Pajdzius dmuchnął w czapkę, która wionęła wysoko i spod sufitu spadła wprost na Mietka.

— Nie dam rady — myśli Mietek. — Poczekam, może on się sam uspokoi.

— Trr, trr trr, — wierci się Pajdzius. Był pod łóżkiem, pod szafą.

Cztery razy minął drzwi, ale nie mógł do nich trafić. I cóżby mu z tego przyszło, gdyby trafił. Drzwi były zamknięte, on zaś taki maleńki, że do klamki musiałby wlatywać na aeroplanie. Zmęczył się wędrówką bezskuteczną. Przybiegł do Mietka.

— Namysliłeś się? — zapytuje chłopca.

— Zrobisz wszystko, co każe, to zanosę cię Ignasiowi — powiada Mietek.

— Dobrze, zrobię — zgodził się Pajdzius.

Mietek wsadził go na ramię, żeby nie narzekał, że ciemno i wyszli na dwór. Słońce przykleiło Pajdziusowi jakieś różowe plasterki na czoło, nos i brodę i zaraz narosła mu skórka na miejsce tej, którą starł kamień, owózdź i szyszka z lasu, gdy Pajdzius siedział w kieszeni.

Mietek obejrzał się za swoimi ko-



legami z dołów śmietniskowych. Nigdzie ich nie było.

— Zatrąb na trąbce, którą masz na szyi. Zatrąb jak drużynowy Komecki — zwraca się Mietek do Pajdziusia.

— O, to być nie może. Na trąbce gra trębacz. Ja do harcerzy jeszcze nie należę — powiada Pajdziuś.

— Rób, co chcesz, zatrąb, albo złaż z ramienia, bo cię zrzucę do dołów ze śmieciem — zagroził Mietek.

Zadudniło i zatrzęśły się wszystkie małe domki na ulicy Koziej. Ciężarowe auto sunęło po wybojach.

Pajdziuś mógł skakać jak piłka, fruwać, jak balonik. Odbił się z ramienia Mietka i siadł na ręce szoferowi. Nacisnął trąbkę, dmie. Raz, drugi, piąty, dziesiąty, dmie z całej siły.

Z poza starej szopy strażackiej wybiegli: Ludek, Władek, Jurek, Michał i jeszcze kilku chłopców, których Mietek wcale nie znał.

— Idziemy — powiada do nich Mietek zuchowato. Staje na proździe. Odmierza krok i maszeruje jak żołnierz w wielkie święto. Przeszli całe miasto. Pajdziuś podązał z tyłu.

Na placu przed szpitalem odbywała się zbiórka. Drużynowy Komecki liczył swoich zuchów. Tym razem brakowało Mietka.

— Idzie, idzie — woła Ignas. — Ale nie sam. Prowadzi nowych chłopców.

— To jest Ludek, to Władek, Witek, Michał, Jurek, a ten najmniejszy nazywa się Pajdziuś.

Zaśmiali się wszyscy.

— Jestem Pajdziuś. Nie znacie mnie jeszcze, ale Mietek, Ignas i drużynowy wiedzą, że ja jestem Pajdziuś.

Rozpoczęła się nauka w szkole. Mietek chodzi do drugiej klasy i uczy się bardzo dobrze.

Wiatr jesienny i deszcze nie pozwalają na to, żeby chłopcy biegali po dworze.

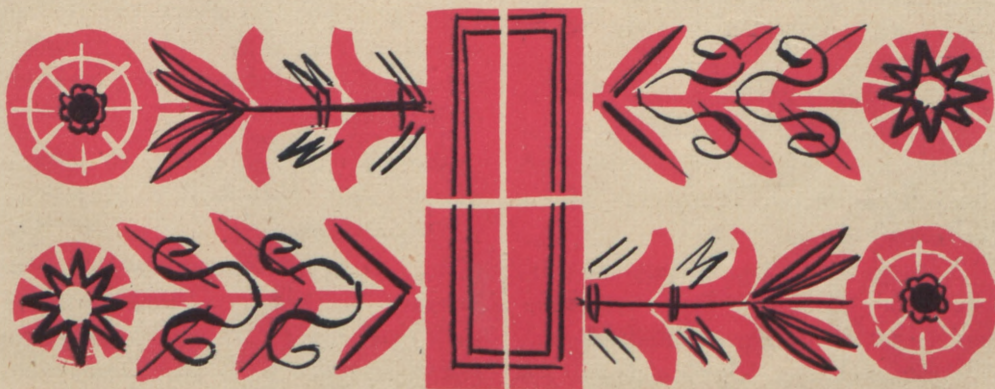
Schodzą się w świetlicy harcerskiej. Można ich tam wszystkich zobaczyć i poznać.

Ani jeden z nich nie wałęsa się po ulicy, nie grzebie w śmieciach. Uczą się czytać, bawią się wesoło.

A wszystkiemu winien Pajdziuś. Nie ten, którego Mietek znalazł na Sowińcu, tylko przezwany Pajdziusiem Ignas, z którym Mietek zawarł znajomość po wyjściu ze szpitala.

K O N I E C.

Janina Kalinowska



ZA MIASTO

Za nami mury przedmieścia,
przed nami przestrzeń swobodna!
Jak w sercu radość pomieścić?
Jak szczęścia czarę pić do dna?

Nie ma słów dosyć promiennych,
ani takiego śpiewania,
by mogły urok wiosenny
w młodzieńczym sercu rozdzwaniać!

Ciepłego słońca pieszczota
uśmiechem padła na usta.
— By nas tkliwością omotać,
by wszelki smutek, żal ustał.

Swobody czar przyszedł z dala,
w szumiącym, słodkim drzy wietrze.
Strumyk z radości oszalał,
radością pachnie powietrze!...

Tak cudnie skowronek dzwoni
wśród polnych, wążutkich ścieżyn...
Dziś szczęście trzymamy w dłoni,
świat cały do nas należy!

Maj w złote chwycił nas sidła
i zachwyty w sercu wciąż rośnie!
Na skrzydłach pieśni, na skrzydłach
idziemy naprzeciw wiosnie!

Alina Kwiecińska



Jedni lubią „Bajkę o rzepie”,
drudzy „Lokomotywę”, inni jeszcze
„Śpij, dziecinko, już!...” Ciekawe
czy usłyszą to co im się podoba
w „Wesołym poranku” w środę,
9 czerwca o g. 11 m. 30.

We czwartek o g. 16 p. Wacław
Frenkiel będzie opowiadał o podró-
żach między gwiazdami. Nikt tam
co prawda jeszcze nie jeździł, ale
trzeba się przygotować i do takiej
podróży.

W piątek, 11 czerwca, będzie
o g. 11 m. 30 słuchowisko o waka-
cjach: „Lato leśnych ludzi”. O tych
leśnych ludziach napisała Maria
Rodziewiczówna.

A w sobotę „Śpiewajmy piosen-
ki” o g. 11 m. 30, kto umie śpie-
wać, to tak jakby miał dwa razy
dłuższe wakacje. Oprócz tego, jak

kto dobrze śpiewa albo mówi wier-
sze, to może nawet urządzić kon-
cert dla znajomych. A kilkoro dzie-
ci urządziło taki koncert w radio,
też w sobotę o g. 16.

W niedzielę Wujaszek i Mamu-
sia Radiowi o g. 14 m. 40. To zna-
czy: „Wszystkiego po trochu”.

W poniedziałek, 14 czerwca,
o g. 16 dr. Feliks Burdecki będzie
mówił o tym, jak był u jednego
uczonego i jak obydwoj rozmawiali
o wynalazkach.

We wtorek o g. 11 m. 30 — jak
zawsze — słuchowisko dla Was,
a po południu o g. 16 — dla Wa-
szych starszych siostrzyczek i bra-
ciszków — pierwszy podwieczorek
pod lipą. Co będzie na podwieczo-
rek, wie tylko p. Bogna Domańska.

ZGADUŁA ZGADUŁA

REBUS 1



SZARADA

Pierwszą mam na nodze
i chodzę.
Druga — ptak w krajach polarnych
(nie czarny).
Całość — choć nie jest morze,
wodę zawierać może.

ZAGADKA 1

Idzie po polu
biały wielkolud
i komin w ustach trzyma.
Potarł drzewem o skrzynię —
błysnęło na kominie
i leci dym z komina.

REBUS 2



ZAGADKA 2

Przywieźli tę wodę
w beczce samochodem.
Nalewali do butelek,
tu niewiele, tam niewiele.
Już zakorkowane,
zatkali gałganem,
Gdy zapałkę przyłożyli,
pałała się w jednej chwili.

RÓZWIĄZANIA Z NRU 37:

Rebus 1 — zabawa na majówce,
2 — zbieramy kwiatki. Szarada 1 —
czytanie, 2 — jabłuszko. Zagad-
ka — dzwon.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż):		W prenumeracie pojedynczej:	
miesięcznie	zł. —.50	miesięcznie	zł. —.75
półrocznie	„ 2.25	półrocznie	„ 3.50
rocznie	„ 4.50	rocznie	„ 6.50

POJEDYŃCZY NUMER KOSZTUJE 20 GR.

Prenumeratę prosimy nadsyłać blankietem P. K. O. Nr. 435.

W Warszawie prenumeratę przyjmuje filia miejska „Płomyczka” przy ul. Świętokrzyskiej 18,
telef. 5-22-18, od godz. 9-ej rano do 7-ej wiecz.

W Wilnie prenumeratę przyjmuje filia „Płomyczka” przy ul. Wielkiej 40, telef. 21-31,
od godz. 9-ej rano do 7-ej wiecz.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr 6). Nr telefonu administracji — 2.69-49, redakcji — 6.30-26.

KOMITET REDAKCYJNY CZASOPISM DZIECIĘCYCH ZWIĄZKU NAUCZ. POLSKIEGO.

W. Burek, I. Huber, M. Kotarbiński, H. Ładosz, F. A. Ossendowski,
E. Szymański, A. Świrszczyńska, W. Wasilewska, I. Wiłska.

Kierownicy artystyczni: E. John, K. Pięniżek.

Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego:
STANISŁAW KWIATKOWSKI

